

Między dziadkiem a wnukiem

Nazwisko Józefa Łopatto (1860–1945) wyryto w 2011 r. na stojącym przy ulicy Mindaugo w Wilnie, przypominającym połówkę jabłka pomniku ku czci pięćdziesięciu tamtejszych obywateli i rodzin znanych z działalności charytatywnej. Jaki był ten dziarski porucznik, czuły mąż, przedsiębiorca-wizjoner, ojciec trzech córek i trzech synów, których bez względu na płeć równie chętnie kształcił, jak obdarowywał?

Minął rok od odejścia Emanuela „Maniusia” Łopatto, który przez całe dekady stanowił dla mnie źródło inspiracji i wiedzy o relacjach międzyludzkich, także panujących niegdyś w naszej rodzinie. Kiedy wraz z Marią Emilią Zajączkowską-Łopatto spisywałam do „Awazymyza” z czerwca 2022 roku wspomnienia o jej mężu, którego większość naszych czytelników poznała dopiero jako mocno starszego pana, nie spodziewałam się, że chochlik drukarski usunie kluczowe dla mnie zdanie:

Bliscy zapamiętają go jako inspirującego rozmówcę, dobroczyńcę i opiekuna kilku pokoleń szeroko pojętej rodziny, mecenasa sztuki i literatury, rzetelnego i dalekowzrocznego pracodawcę, szlachetnego i uczynnego człowieka o niezwykłym umyśle oraz poczuciu humoru, ale przede wszystkim – poczuciu moralnego obowiązku.

Dzisiaj po raz kolejny przeglądam książkę *Byle na zachód*, stanowiącą zapis długiego wywiadu profesora Wiesława Mincera z młodszym kolegą z partyzantki AK, „Czarnym” czyli Maniusiem

Łopatto, i widzę, że wiele z cech wymienionych w powyższym cytacie charakteryzowało też jego dziadka, Józefa Łopatto. Przyznam, że dopóki w jesieni roku 1999 nie zaczęłam przelewać na papier tych piętnastu 90-minutowych kaset z magnetofonu Mincera, o moim pradziadku Józefie wiedziałam tylko dwie rzeczy, właściwie znałam

Wileński pomnik ku czci pięćdziesięciu obywateli i rodzin znanych z działalności dobroczynnej. Fot. Błażej Pilecki



dwie anegdoty, które zdążyła mi przekazać mama, Marianna Zajązkowska-Abrahamowicz.

Zapamiętała dziadka Józefa jako emanującego energią starszego pana (byłego wojskowego!), który nigdy nie chorował ani nie konsultował swojego stanu zdrowia z lekarzami. Pod koniec życia jednak zaczął mieć problemy z zębami. Namówiony przez potomnych, usiadł w eleganckiej poczekalni wileńskiego dentysty, wymienił uprzejmości z pozostałą klientelą i... wyszedł. Jak potem mówił wnuczce Mariannie, wrzaski pacjentów dobiegające zza drzwi gabinetu miały taką moc, że pokonały raz na zawsze ból w jego dziąsłach.

Wojskowy dryl to jedno, a wiara w przesady i wróżby, za jego czasów trzymająca się mocno na Wileńszczyźnie, to drugie. Jako młodzietki chłopak udał się do wróżki, która ujęła jego dłoń i zaczęła błagać: „Paniczu, nigdy, przenigdy nie wyjeżdżaj z kraju, bo jak przekroczysz granicę, to w trzy dni po przyjeździe umrzesz we śnie”. Czy to tłumaczy fakt, że nigdy nie pojechał do Włoch do swojego syna Michała Łopatto, zdolnego poety i przedsiębiorcy, który stałe odwiedzał rodzinę w Wilnie i regularnie zapraszał ich do siebie? Według mojej mamy ta złowroga przepowiednia spełniła się po repatriacji w Krakowie, kiedy w grudniu 1945 r. dziadek po obiedzie powiedział, że utnie sobie drzemkę, ale nigdy się z niej nie obudził.



Bracia Łopatto (od lewej): Józef, Elias i Gabriel.
Fot. Archiwum ZKP



Józef Łopatto z wnukiem
w majątku Szytele.
Fot. Archiwum ZKP

Tych historii Maniuś nie znał, co mnie zaintrygowało, bo dowodziło, że mój pradziadek z umiarem dozował opowieści o sobie. Podobnie jak Maniuś, bo o tym, że on był wolnomularzem, aktywnym we Włoszech i bardzo cenionym za wkład w odbudowę struktur masonerii polskiej, dowiedziałam się dopiero w zeszłym roku od Marii Emilii. Ona też opowiedziała mi, jak mąż wspominał czasy, kiedy uczęszczał do szkoły w Wilnie i mieszkał w potężnym domu przy ulicy Gimnazjalnej należącym do dziadków Łopatto. Józef był pobożnym Karaimem, jednym z fundatorów kienesy wileńskiej oraz darczyńcą działki i wybudowanego na niej domu gminnego na Zwierzynku w Wilnie. Wnuka mieszkającego z dala od rodziców, którzy zarządzali majątkiem ziemskim

Szyłele, wprowadzał w sprawy religii i tradycji karaïmskiej. Co sobotę rano wsiadali razem do drożki i jechali do kienesy, gdzie dziadek stawał go przed sobą, czytając modlitwy.

By zrozumieć, jak dziadek wpłynął na osobowość wnuka, posłuchajmy rozmowy o Józefie Łopatto, jaką u schyłku XX stulecia przeprowadzili dawni towarzysze broni z Wileńszczyzny:

WIESŁAW MINCER: *A czy duży był wasz majątek w Szyłelach?*

EMANUEL ŁOPATTO: Nie, to był raczej folwark kupiony w drugiej połowie XIX w. jako punkt noclegowy. Mój dziadek miał majątek Upniki nad rzeką Świętą i jadąc tam z Wilna powozem czy saniami, musiał gdzieś przenocować. Kupił więc Szyłele położone w połowie drogi Wilno–Upniki, aby móc zatrzymać się na noc i koniom dać odpocząć. Miało to około 150 ha, w tym jedną trzecią ziemi ornej.

W.M.: *Był tam dwór?*

E.Ł.: Tak, duży dom zrobiony z bierwion, potem otynkowany. Trochę zabudowań gospodarskich, dwa budynki czworaków dla służby, każdy na dwie rodziny, no i oczywiście chlew, obora, stajnia, odryna czyli szopa na siano, stodoła na zboże i spichlerz zwany u nas świrnem.

W.M.: *W Szyłelach mieszkaliście z rodzicami?*

E.Ł.: Przenieśliśmy się tam z Wilna po kryzysie w roku 1931, kiedy mój ojciec musiał zamknąć biuro melioracyjne, bo nie służyło już nikomu, a dziadek przypominał sobie o istnieniu tego folwarku – zapuszczonego, wynajętego komuś tam jeszcze przed I wojną światową. Umowa najmu została cofnięta i mój ojciec, który nie znał się na gospodarstwie, oraz moja mama, która nigdy wcześniej na wsi nie mieszkała, przenieśli się tam ze mną i moim młodszym bratem Romkiem.

W.M.: *Mieszkaliście tam już wtedy na stałe, prawda? A wojna gdzie cię zastała, też tam?*

E.Ł.: Tak, tam na wsi.

W.M.: *Jak przyszli bolszewicy, to twój ojciec został aresztowany?*

E.Ł.: Tak, 3 sierpnia 1940 roku. Rano, o świcie, zostałem obudzony przez enkawudzistę, którego

mundurowe nakrycie głowy wydało mi się jakieś dziwne. Przeszukał on moje łóżko, przeszukano również oba domy – bo obok stał drugi, nowszy dom wybudowany przez stryja Michała na jego wakacje letnie. Niczego nie znaleźli, lecz ojca nagle posadzono na ciężarówkę. Była to pierwsza ciężarówka, której udało się dojechać do Szyłel. Lato było upalne, suche, więc dojechali, wzięli, zabrali i pojechali. Dziadek, Józef Łopatto, prosił: „Weźcie mnie zamiast niego, on jest tu niezapamiętany przy żonie i dzieciach”, ale oficer NKWD odpowiedział, że to niemożliwe i że zabierają ojca tylko na trzy dni dla sprawdzenia i złożenia wyjaśnień. Potem dziadek Józef, ojciec mojego ojca, został tam z nami, żeby trochę pomagać.

[...]

W.M.: *Jak daleko sięgasz pamięcią w przeszłość rodzinną?*

E.Ł.: W opowieści mojego dziadka, Józefa Łopatto.

W.M.: *A kim on był?*

E.Ł.: Dziadek Józef Łopatto, urodzony w Poniewieżu, miał dwóch braci i siostrę. Skierowany za młodu do szkoły oficerskiej, został porucznikiem zawodowym i stacjonował w Wilnie.

W.M.: *Jeszcze carskim porucznikiem?*

E.Ł.: Oczywiście, tak! On był z rocznika 1860. W dwudziestym piątym roku życia, jako porucznik, zaręczył się z moją babcią Raisą z domu Juchniewicz.

W.M.: *Czy babcia też pochodziła z rodziny karaïmskiej?*

E.Ł.: Tak, z rodziny karaïmskiej, była jedynaczką, a jej ojciec był poborcą podatkowym.

W.M.: *W Wilnie?*

E.Ł.: Tak, w Wilnie. Ukończyła szkoły prywatne, mówiła po polsku, a jej matka, a trochę i ona sama, przyjaźniła się z Elizą Orzeszkową, kiedy ta przebywała w Wilnie. Tyle wiem o prababci, której portret tu wisi. W sensie ekonomicznym na starcie było to małżeństwo trochę nierówne, jako że dziadek, choć na ówczesnych fotografiach bardzo przystojny, nie dorównywał statusem majątkowym jedynej spadkobierczyni domu na Gimnazjalnej, gdzie było osiem mieszkań czynszowych. Tym niemniej małżeństwo okazało się bardzo udane.

W.M.: Dużo mieli dzieci?

E.Ł.: Mieli trzech synów i trzy córki. Na początku teść mojego dziadka pomyślał o przyszłości córki i nowej rodziny Łopatto. Dziadek dostał propozycję, aby pojechać osobiście do Upnik. Była to własność ziemska licząca dwa tysiące hektarów w posiadaniu jakiegoś pułkownika armii carskiej w stanie spoczynku. Powiedziano mu, żeby obejrzał lasy, które stanowiły zdecydowaną większość majątku, i sprawdził, czy są takiej jakości, jak opisywał to pośrednik, który tę transakcję zaproponował. Dziadek usłuchał, ale przypuszczam, że była to dla niego operacja dość abstrakcyjna. Wyobraź sobie: młody człowiek, oficer, który ma oszacować lasy! Ale pojechał, po drodze dwa razy przenocował, w końcu podjechał pod ganek dworu i zameldował się u pana pułkownika, nieco zdziwaczałego samotnika, który chciał się pozbyć Upnik. Chodziło o pisemne ustalenie warunków sprzedaży. Dziadek mu powiedział, że może to załatwić, a tamten był zdziwiony młodym wiekiem dziadka i bardzo podejrzliwy, więc w pewnym momencie dziadek rzekł stanowczo: „Wykonuję to, o co mi chodzi. A dla pana pułkownika przywiozłem zadatek”. Wyciągnął worek pełen złotych rubli, wyrzucił go do góry dnem nad stołem, monety zaświeciły w oczach pułkownika i potoczyły się i na stół, i pod stół. Zadatek wynosił dziesięć tysięcy rubli.

W.M.: Olbrzymia suma.

E.Ł.: Tak. Wtedy zaczęli razem zbierać te ruble, układać je na stole i liczyć. Podpisano umowę. Dziadek wrócił do Wilna i wręczył teściowi dokument. Teść powiedział: „Dobrze. Teraz ta sprawa potoczy się inaczej”. Następne dziewięćdziesiąt tysięcy rubli zostało zapłacone pułkownikowi prawie bezpośrednio przez tych, którzy kupili las do wycięcia. Drewno popłynęło rzeką Świętą, Wilią i Niemnem do Kłajpedy.

W.M.: Gdzie leżały Upniki?

E.Ł.: Nad rzeką Świętą, później należało to już do przedwojennej Litwy.

W.M.: Do Litwy Kowieńskiej.

E.Ł.: Według opowieści dziadka ludność mówiła „po polskiemu”, ale i on momentami tak mówił. Wykarczowano las i zaczęto gospodarowanie.



W.M.: To było coś w rodzaju posagu twojej babci.

E.Ł.: To było powiększenie posagu, fundament do budowania rodziny. Dziadek stał się ziemianinem, poprosił o należyty mu dwuletni bezpłatny urlop z wojska, aby potem przejść do rezerwy. Pamiętam, jak mając lat dziesięć czy dwanaście, zapytałem dziadka, czy nie było mu żal zmieniać zawodu i czy jako porucznik szkolący chłopów w wojsku miał do pokonania jakieś istotne trudności. „Najtrudniejsza sprawa – odpowiedział – to prawa i lewa” – bo chłopci tego nie odróżniali. Metoda była taka, że do prawej cholewy wsadzano im siano, a do lewej słomę. W każdym razie zdawało mi się, że on nigdy nie żałował rezygnacji z kariery wojskowej, tym bardziej, że był bardzo zajęty, bo zaczęły rodzić się dzieci.

W.M.: Mieszkali z babcią w tym majątku?

E.Ł.: Tak, ale oczywiście, gdy babcia była w stanie błogosławionym, to jechała do własnej mamy i rodziła w Wilnie. W ten sposób jeden rok spędzała w Upnikach, a następny w Wilnie, bo trzeba było to niemowlę trochę odchować. Gdy już się je odstawiało od piersi, wracała na wieś, gdzie czekały osoby zajmujące się pielęgnowaniem dzieci.

W.M.: Czy mógłbyś wymienić imiona wszystkich dzieci?

E.Ł.: Najstarsza była ciocia Maria zwana Manią, urodzona w 1889 roku, następny to stryj Aleksy, potem stryj Michał, potem mój ojciec Jerzy

Rocznica ślubu Raisy i Józefa Łopatto, Upniki 1903 rok. Fot. Archiwum ZKP.

urodzony w 1896 r. po czteroletniej przerwie po stryju Michale. W 1898 r. urodziła się ciocia Zinaida i jako ostatnia ciocia Zofia zwana później Chonią. Rodzina się powiększała, a za każdym razem karczowano las i urządzano folwark, żeby łatwiej było nim zarządzać. Każdy z nich dostawał imię kolejnego dziecka: Aleksiejówka, Michajłówka...

W.M.: To bardzo miły zwyczaj.

E.Ł.: Tak. Dziadek mi o tym opowiedział i pomyślałem, że jednak był to okres bardzo intensywny, choć jeszcze nie było problemów z kształceniem dzieci. Z Paryża sprowadzono mademoiselle, która kolejno uczyła całą szóstkę języka francuskiego w mowie i piśmie. Dziadek na początku wieku kupił maszynę do młócenia, młocarnię mechaniczną, która pracując pełną parą, zastąpiła kieraty. I to niestety był początek końca, bo któregoś dnia – czy to z powodu awarii, czy z powodu nieudolnego obsługiwania – buchnęły z niej snopy iskier i spaliła się stodoła. Wszystkie zabudowania z wyjątkiem domu poszły z dymem. Dom został uratowany, bo służba bardzo szybko pokryła dach mokrymi prześcieradłami. To był dla dziadka bardzo silny wstrząs. A działo się to przed 1910 rokiem. Prawie go to załamało i powiedział „dość”. Dzieci już zresztą podrosły. Prawdopodobnie odbyła się jakaś szersza rodzinna narada i postanowiono sprzedać Upniki. W zamierzonych czasach majątek ten należał do Królowej Bony. W każdym razie była to posiadłość znana, zapisana w historycznych aktach.

W.M.: Bardzo mądrze, że to sprzedali, bo po pierwszej wojnie światowej ten teren przypadł Litwie. A na Litwie po tamtej wojnie przeprowadzono parcelację majątków i twój dziadek straciłby to wszystko.

E.Ł.: Tak, z pewnością. Poza tym jednak ta odległość od Wilna, te dwa dni końmi, to też było raczej trudne. Kupiono Szyłe, ale one rozwiązywały tylko problem noclegu po drodze. A dzieci rosły, już zaczynały uczęszczać do gimnazjum, rzecz jasna w Wilnie. Mieszkały u swoich dziadków, ale trzeba było to wszystko zorganizować inaczej. Pożar był przypuszczalnie tylko ostatnią kroplą. Upniki zostały sprzedane, a za te pieniądze wszczęto następną operację. Prawdopodobnie ten sam pośrednik zaproponował coś, co wydawało się wyjątkowe. To był Jumurden. Posiadłość w późniejszej Łotwie, czyli na północ od Wilna,

liczyła cztery tysiące hektarów. Obok znajdowały się tereny należące do Stołypinów. Co prawda nie mieszkał tam sam premier Piotr Stołypin, ale jego brat, z którym dziadkowie utrzymywali dobrosąsiedzkie stosunki. Majątek został sprzedany z młotka, znaczy przez sąd, ponieważ jego poprzedni właściciel nie był w stanie spłacić długów i dziadek to kupił na aukcji. To były cztery tysiące hektarów lasu nad jeziorem, fenomenalna willa wzniesiona przez tegoż właściciela olbrzymim nakładem środków. Był on swego czasu we Florencji, zachwyił się willą „La Pietra” i wbił sobie do głowy, że musi postawić identyczną u siebie nad jeziorem. Oczywiście nie dla willi dziadek na był Jumurden. Przypuszczalnie przewidywano, że skoro Stołypin ma obok ogromne posiadłości, to zbudują tam linię kolejową, bo spławić nic by się stamtąd nie dało, do jeziora wpadały tylko okoliczne strumyki. Lasy były pełne wszelkiej zwierzyny. Polowali w nich stryj Aleksy i stryj Michał, który nawet ustrzelił tam kiedyś rysia. Jednak reszta rodziny rzadko tam bywała.

Niestety zabójstwo Stołypina w 1911 r. rozwiało nadzieje związane z budową linii kolejowej w pobliżu Jumurdenu. Trzeba było zająć się sprzedażą tej majątności. I znów ten sam pośrednik, którego znacznie później widziałem przez chwilę, znalazł chętnego nabywcę.

Władanie Jumurdenem było związane z przywilejem tytułu barona, co w ówczesnych czasach dla państwa Dodi okazało się decydującym czynnikiem do przeprowadzenia tej transakcji. Zawarto kontrakt, który przewidywał zamianę nieruchomości i spłatę ewentualnej różnicy wartości do ustalenia. Pan Dodi, właściciel najlepszego w Odessie Hotelu St. Petersburg, zamieniał się z dziadkiem własnością. Otrzymywał Jumurden wraz z przywilejem tytułu barona w zamian za hotel.

W Odessie istniała wówczas bardzo liczna gmina karaimska i byli to przeważnie ludzie zamożni i wpływowi, więc istniała możliwość odpowiednich partii dla córek i synów. Kolej z Petersburga, gdzie studiowała pierwsza trójka młodzieży, zapewniła im wygodny dojazd do domu na wakacje. Wartość Jumurdenu okazała się wyższa niż hotelu, toteż w kontrakcie hotel ujęto jako, powiedzmy, część ceny, zadatek. Po wojnie instancja Jumurdenu pozostawała niezmienną i rząd łotewski, upaństwowiając go, zapłacił przez siebie ustalone skromne odszkodowanie. To było w latach dwudziestych. Lecz teraz opowiadam

Na sąsiedniej stronie:

- Wilhelm Siegfried Stavenhagen, *Jumurda Liivimaal* (1857). Źródło: Eesti Ajaloomuseum SA
- Józef Łopatto w Jumurden, 1912 rok. Fot. Archiwum ZKP
- Dwór w Jumurden, stan obecny. Fot. Tomasz Wicherkiewicz



Znane i nieznane

Karaimskie rody

o wcześniejszych latach, gdy dziadkowie z dziećmi zamieszkali w Odessie, w Hotelu St. Petersburg położonym nad schodami Richelieu, znanymi nam z filmu Eisensteina „Pancernik Potiomkin”.

W.M.: *Jakie to były lata mniej więcej?*

E.Ł.: Był to chyba rok 1912. Stryj Michał studiował w Petersburgu, brał udział w zamieszkach w 1911 r. i został oskarżony o zagrożenie władzy i anarchizm. Dziadkowi udało się dzięki swoim dawnym kontaktom uratować syna od zesłania. Stryj Michał, zawieszony w prawach studenta, otrzymał paszport i wyjechał przez Wiedeń do Monachium.

W.M.: *Do stryja Michała jeszcze wrócimy, bo to osobna wielka historia twojego życia.*

E.Ł.: Tak, stryj Michał to był pierwszy Łopatto, który zobaczył Zachód.

W.M.: *W tym czasie dziadkowie z dziećmi zamieszkali w Odessie.*

E.Ł.: Mój ojciec i dwie najmłodsze córki byli z nimi, uczęszczali do gimnazjum. Starsza trójka studiowała w Petersburgu: ciocia Mania – filologię romańską, stryj Michał – literaturę rosyjską i filologię klasyczną, stryj Aleksy uczęszczał na Politechnikę.

W.M.: *A co dziadek robił w Odessie? Prowadził hotel?*

E.Ł.: Tak, dziadek prowadził czy starał się go prowadzić, w każdym razie w piwnicach było trzydzieści tysięcy butelek wina, hotel miał opinię bardzo szykownego. Rodzina mieszkała w jego apartamentach. Kiedy trójka studentów przyjeżdżała z Petersburga, oczywiście dawano im klucze do kolejnych pokoi.

W.M.: *Jak długo dziadek ten hotel prowadził?*

E.Ł.: Do przyścia Czerwonych, czyli całą pierwszą wojnę spędził w Odessie, a w hotelu mieścić się najpierw sztab niemiecki, a potem sztab francuski.

W.M.: *Ale dziadek stracił hotel, bo go bolszewicy zabrali.*

E.Ł.: Naturalnie. Jak przyszli bolszewicy, to wśród dwustu największych burżujów Odessy aresztowano także dziadka. Codziennie dziesięciu z nich rozstrzeliwano. Dopiero ostatnią dziesiątkę, w której był też dziadek, wypuszczono. Okazało



☛ Józef Łopatto z córkami w hotelu St. Petersburg w Odessie, 1915 rok. Fot. Archiwum ZKP

☚ Rodzina Łopattów w twierdzy Akerman, 1913 rok. Fot. Archiwum ZKP



się, że jeden z jego kelnerów był utajnionym komisarzem za czasów Białych, dziadek o tym wiedział, a on wiedział, że dziadek wie. I kiedy zobaczył nazwisko Łopatto na liście, powiedział: „Ten pójdzie do ostatniej dziesiątki, którą wypuscicie”. W ten sposób dziadek przetrwał dwadzieścia dni rozstrzeliwań i wyszedł.

W.M.: *No to rzeczywiście można było osiwieć.*

E.Ł.: Prawdopodobnie tak. Lecz o ile zrozumiałem, dziadek wierzył w przeznaczenie.

W.M.: *Czyli zachował spokój.*

E.Ł.: Tak.

W.M.: *I tak to trwało aż do wyjazdu z Odessy. W którym roku wyjechali?*

E.Ł.: Chyba w 1922 roku. Mieli dwa wagony, jeden na rzeczy, drugi osobowy. Dziadkom towarzyszyły trzy córki i ich przyjaciółka, Karaimka z Odessy Dina Roffe, zaręczona z wujem Konstantym Łopatto, bratankiem dziadka. Osierocona tragicznie, została zapisana jako córka, aby móc dojechać do Wilna. Podczas podróży trwającej wiele dni drugi wagon gdzieś się zawieruszył. Tak więc wszystkie meble i cały bagaż zostały po drodze. W wagonie, w którym jechali, mieli tylko trochę talerzy i innych rzeczy potrzebnych w podróży.

W.M.: *A w Wilnie czy miał z czym wystartować, jeśli chodzi o zaplecze materialne? Miał Szyłele.*

E.Ł.: Miał cały kufer marek, które niestety uległy dewaluacji. I miał ten dom na Gimnazjalnej, czynszowy – posażny babci. Zamieszkali w nim wraz z córkami i potem kiedyś przypomnieli sobie o Szyłelach. W ogóle to prowadzili dosyć skromne życie. Za mąż wyszła jedynie ciocia Mania. Dwie ciotki zostały z rodzicami, ciocia Zińcia pracowała w magistracie, a ciocia Zosia cały czas ćwiczyła się w stenografii. Dziadek posiadał także parcele budowlane na Zwierzynku.

W.M.: *Czym się dziadek zajmował po powrocie do Wilna?*

E.Ł.: Był właścicielem, mężem właścicielki domu. Brali tych osiem czynszów miesięcznie od lokatorów. Sporo czasu poświęcał obowiązkowi społecznym. Przez wiele lat pełnił funkcję skarbnika



↑ Część rodziny Łopatto w Wilnie, 1929 rok. Fot. Archiwum ZKP

← Józef Łopatto przed „repatriacją” do Krakowa, Wilno 1945 rok. Fot. Archiwum ZKP

Karaimskiego Zarządu Duchownego. Babcia zajmowała się domem, dobroczynnością, a także udzielała się w Kole Pań.

Kiedy miesiąc temu, jak robię to od sześćdziesięciu lat, szłam z kwiatami na grób Józefa Łopatto ścieżkami Cmentarza Rakowickiego w Krakowie, zatrzymałam się na chwilę w Alei Zasłużonych. Stamtąd, od grobowców Grechuty, Broszkiewicza czy Demarczyk, bliźniętka już mam do pradiadka i lubię sobie wyobrażać, że tam prowadzi nasza karaimska alejka zasłużonych, że jego pomnik nagrobny jest też częścią tamtego Jabłka. ■

Hanna Pilecka